

Andrzej Bąkowski

Moje pitavale

Palestra 46/7-8(535-536), 105-108

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Andrzej Bąkowski

Moje pitavale

Czasem nie mogę się oprzeć wrażeniu, że adwokat całym swoim życiem zawodowym, bywa że do „grobowej deski”, pisze jeden wielki lub mniejszy pitaval. Myśl ta przyszła mi do głowy podczas kolejnego porządkowania zasobów własnej biblioteki, gdy z przyjemnością natknąłem się na dość okazały zbiór tzw. pitavali, książek o głośnych sprawach kryminalnych, choć również politycznych czy literackich, znajdujących swój finał w sądach. Pitavalom dał początek znany francuski adwokat Goyot de Pitaval (1673–1743) wielotomowym opisem w ujęciu historycznym spraw karnych na użytek ówczesnego sądownictwa.

Wypada podkreślić, iż nazwiska „bohaterów” moich bibliotecznych pitavali lokowały się na poczesnych miejscach różnych czasopism interesując, jak to się kiedyś mówiło, szeroką publiczność, czyli po prostu czytelników. Nie silę się na uogólnienia, ale dla wielu prawników sądowych w swoim czasie miały charakter nie tylko anegdotyczny, cza-

sami były inspiracją do doskonalenia własnego warsztatu. Nadto zaświadczały o tradycji interesujących jurystycznie spraw, rzucały mosty między starymi i nowymi procesami, stwarzały możliwość konfrontacji dawnych i obecnych rozwiązań prawnych. Świadczyły o formach i jakości wykonywania zawodu sędziego, oskarżyciela, obrońcy w różnych czasach. Jednym słowem była to klasyka sądowa, tak jak jest klasyka dzieł literatury pięknej.

W odległych latach mojej adwokackiej młodości każdy z nas marzył o wielkiej karierze obrończej, każdy na swój sposób nosił przysłowiową „buławę” już nie w tornistrze, ale w teczce. Tylko bardzo niewielu ją osiągnęło, ale tym, którym nie była dana, pozostała satysfakcja z wykonywanej profesji.

Wracając do moich pitavali. Wszystkie właściwie powstały w okresie PRL-u. Są wśród nich znakomite. Myślę tu przede wszystkim o pitavalach Stanisława Szenica, dwutomowym „warszawskim”, szczególnie ciekawym tomie II

(Czytelnik 1958), a jeszcze przedtem o pitawalu historycznym (Czytelnik 1955), jak również „Pitawalu wielkopolskim” (Czytelnik 1960). Jakaż tam kopalnia wiadomości prawniczych, obyczajowych i politycznych, szczególnie XVIII, XIX i XX wiecznych.

W tomie II, „warszawskim” odnotować trzeba dwie sprawy, które elektryzowały „publiczność” warszawską. O zabójstwo gimnazjalisty Stasia Chrzanoskiego przez jego szwagra hr. Bohdana Ronikiera i zabójstwo księcia Władysława Druckiego-Lubeckiego, o które podejrzewano barona Bispinga, ordynata dóbr ziemskich, spowinowaconego z wieloma rodami arystokratycznymi, polskimi i europejskimi.

Oba zabójstwa miały być popełnione z motywów materialnych. Proces Ronikiera zaczął się w roku 1910 przed sądem rosyjskim w Warszawie, zakończył skazaniem go na 11 lat ciężkich robót i dożywotnie osiedlenie na Syberii. W roku 1927 Prezydent RP darował Ronikierowi resztę kary, a Syberia szczęśliwie go ominęła.

Jeszcze bardziej ekscytujący prawniczo przebieg miał proces Bispinga. Miarą jego trudności i stopnia komplikacji było przesłuchanie przeszło siedmiuset świadków, przeprowadzenie dziesiątków ekspertyz z różnych dziedzin. Broniła galeria znakomitych ówczesnych adwokatów warszawskich i rosyjskich, żeby wspomnieć choćby nazwiska Goldsteina, Aronsona, Sterlinga, Nowodworzkiego, Karabczyńskiego, Bobryszkina – Puszkina, seniora później juniora, z Petersburga.

Proces zaczął się w roku 1913, a skończył w odrodzonej Polsce, wędru-

jąc przez wiele instancji. W roku 1928 uniewinniono oskarżonego. Sprawą osobiście interesował się generał – gubernator warszawski baron von Korff, szalała prasa krajowa (np. „Kurier Warszawski”) i zagraniczna, przynosząc sążniste artykuły, dzień po dniu relacjonując smakowicie, jak leci, wszystko z sali sądowej, na żywo i na ciepło. Ekspertyzy: rusznikarskie, z włosów, z pisma, często ze sobą sprzeczne, przy dzisiejszej technice mogłyby dać zupełnie inny obraz sprawy. To, że oba procesy toczyły się w kręgu tzw. wyższych sfer, dodawał im swoistej pikanterii.

Z niemniej ciekawego „Pitawala wielkopolskiego” odnotować trzeba koniecznie toczący się w roku 1903 przed pruskim sądem w Berlinie, w słynnym Moabie proces hrabiny Izy Węsierskiej-Kwileckiej i jej męża Zbigniewa „o podsunięcie dziecka” – syna Józia, rzekomo przez Kwilecką nieurodzonego, dla zachowania ordynacji w rękach następców prawnych dotychczasowych właścicieli. Proces Kwileckiej intrygował całą ówczesną prasę europejską. Sędziowie zawodowi i prokurator Kwileckiej byli nieprzyjaźni, ale po bardzo wielu ciekawych perypetiach procesowych uniewinniła ją z trzaskiem ludowa ława przysięgłych.

Ulica berlińska przez cały czas sprzyjała Kwileckiej, litowała się nad jej tragedią więzienną, oddzieleniem przeszło pięćdziesięcioletniej pani od małego synka. Ba, nawet ogół prawników niemieckich był jej przychylny, a działa się to w czasie, pamiętajmy, gdy hakata szalała w poznańskim w najlepsze. Hrabiny żarliwie bronili znakomici pr-

szy obrońcy, Chodziesner i Wronker. Dochodziło do kapitalnych spięć na linii prokurator, sąd i obrona. Na uczynioną przez przewodniczącego rozprawy wobec obrońcy, niesłuszną zresztą, uwagę, że nazbyt sarkastycznie charakteryzuje sylwetkę świadka oskarżenia, Wronker, nie tracąc głowy, odpowiedział: „mówię po prostu jak mi dziób urósł (wie mir der Schnabel gewachsen ist), lepiej potraktować świadka ironicznie niż brutalnie”. Nie trzeba dodawać, że dzisiaj proces Kwileckiej rozstrzygnęłyby niezawodnie badania DNA.

Po Szenicu trzeba wspomnieć o innych pitavalach. Sądzę, że nie należy przemilczeć „Pitavala politycznego 1918–1939” pióra Romana Jurysia i Tadeusza Szafrana (Czytelnik 1971). A z niego nie odnotować choćby paru procesów z ważnego dla Polski Odrodzonej okresu. Pitaval pisany był już wyraźnie z „peerelowską tezą” i obliczony na kompromitację rządu i sądownictwa przedwrześniowego. Już w przedmowie do książki pisze się, że „terror stanowił nieodłączny element wszystkich rządów w dwudziestoleciu międzywojennym...”. Jest to kpina z czytelników, którzy wówczas (i dzisiaj!) świeżo mieli w pamięci prawdziwy terror „władzy ludowej”.

Oczywiście, okres 1918–1939 nie był w Polsce sielanką polityczną i brakowało powszechnej zgody obywateli na panujący porządek ustrojowy. Państwo było zmuszone w sytuacji posiadania na swoim terytorium wielomilionowych mniejszości narodowych, z których część wyraźnie przejawiała tendencje odśrodkowe lub antyustrojowe, ingerować w zgodzie z zasadą legalizmu. Żeby

jednakże rzeczywistości II Rzeczypospolitej nie lukrować, należy uznać np. proces brzeski i jego otoczkę więzienną, za plamę na honorze rządów pomajowych. Ale generalizować i cały okres XX-lecia nazwać rządami terroru – to już kompletna brednia. Jednak sam proces ten i jego przebieg w warstwie prawniczej został przedstawiony poprawnie.

Podobnie jest z procesem Ministra Skarbu Czechowicza z 1929 r. przed Trybunałem Stanu o znaczne przekroczenia budżetowe i wydatkowanie ok. 8 mln zł na cele pozabudżetowe (w domyśle: kampanię wyborczą Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, sympatyzującego z obozem piłsudczykowskim). W opisie autorzy zaprezentowali wysoki poziom przemówień posłów oskarżycieli Libermana, Pierackiego i Wyrzykowskiego, a nadto charakterystyczną wypowiedź Marszałka Piłsudskiego. Józef Piłsudski zeznający jako świadek całe oskarżenie skierowane przeciwko Czechowiczowi wziął na siebie. Proces był elementem ówczesnej ostrej konfrontacji Marszałka z Sejmem. Orzeczenie nie zapadło. Trybunał Stanu zawiesił postępowanie do czasu zajęcia stanowiska w sprawie przekroczeń budżetowych przez Sejm, a ten je zatwierdził. Wobec tego problem został poza-sądowo rozwiązany.

W szerokiej panoramie kwestii ukraińskiej autorzy zrelacjonowali przebieg sprawy o zabójstwo ministra spraw wewnętrznych Pierackiego przez ukraińskiego nacjonalistę. Pitaval polityczny należy czytać *cum grano salis*.

Na półce znalazłem niedużą książeczkę Mieczysława Szerera „Opowia-

danie o procesach”. Są to raczej refleksje socjologiczno-psychologiczne na tle znanych skądinąd spraw karnych. Ze „starych”, proces Oscara Wilde’a, a z „polskich”, małżonków Maliszów, Zdanowicza i Paramonowa już z ub. wieku (Książka i Wiedza, Warszawa 1966).

Wreszcie dwie edycje znakomitych „Pitawali krakowskich” autorstwa Stanisława Salmonowicza, Janusza Szwaji i Stanisława Waltosia (Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa 1962; Wydawnictwo Literackie, 1968). Autorzy, wybitni już w owym czasie prawnicy, ze znanstwem i profesjonalizmem zawodowym opracowali pitavale sięgające XIV wieku. Sprawy osadzili w tle obowiązujących podówczas procedur, panujących obyczajów i ustroju sądownictwa. Prace, aczkolwiek przeznaczone dla szerokiej rzeszy czytelników, mają niewątpliwy charakter prawniczego wykładu. Proces Brzozowskiego, Borowskiej o zabójstwo dr. Lewickiego wpisane są w realia krakowskie w zaborze austriackim. Są i powojenne, z XX-lecia 1918–39, jak proces Maliszów czy Ciunkiewiczowej o upozorowanie kradzieży cennej biżuterii, wysoko asekurowanej.

Już może tylko przytoczę, że istnieją jeszcze zapewne w obiegu czytelniczym pitavale pomniejszych, jak „Pejzaż wiejski z Temidą” Józefa Grębowicza (Książka i Wiedza 1965), „Współczesny Pitaval Polski” Kazimierza Larskiego (Czytelnik 1962) i pitaval autorstwa Marii Osiadacz pt.: „Sąd orzekł...” (Wydawnictwo MON 1974). Ten ostatni to w dużej mierze typowa agitka peere-

lowska, poprzedzona słowem wstępnym dobrze znanego starszym pokoleniom Kazimierza Kąkola. Autorka m.in. pisze o procesie z 1969 r. w Warszawie, zwanym przez komunistów „procesem komandosów” na tle wydarzeń marcowych z 1968 r. Opisy podlane są sosem pseudosocjalistycznym. Pisane wyraźnie pod określonego zleceniodawcę.

Na koniec „Warszawski Pitawal Lite-racki” autorstwa Olgerda Missuny (Czytelnik 1960) zawiera relacje z czternastu słynnych procesów literackich i dziennikarskich z lat 1885–1938 r. Napisany przez znanego adwokata warszawskiego, wartkim, prawniczym stylem. Głównymi postaciami byli pisarze, od Gabrieli Zapolskiej po Antoniego Słonimskiego. W 1937 r. na ławie oskarżonych w warszawskim Sądzie Okręgowym zasiadł Jerzy Putrament pod zarzutem bluźnierstwa przeciwko Bogu w napisanym przez siebie wierszu „Modlitwa pokonanych”. Już wówczas zdeklarowany komunista, autor wiersza został uniewinniony. Po odczytaniu wyroku i jego uzasadnieniu, znakomity ówczesny sędzia Stanisław Leszczyński (ten sam, który zgłosił *votum separatum* w procesie brzeskim) zwrócił się do Putramenta: „Mówię do pana teraz nie jako sędzia, lecz po ojcowsku, o tyle jestem starszy od pana. Ja panu radzę, nie zaczepiaj pan Boga i tych tematów. Użyte przez pana słowa były niewłaściwe. Mickiewiczowi wiele było wolno, lecz pan jeszcze do tego poziomu nie doszedł...”.

Tyle o niektórych pitawalach z mojej półki bibliotecznej.